

# Kronika tygodniowa.

Sprawozdanie z przebiegu świąt Bożego Narodzenia nie było kompletne, ograniczyć się bowiem musiało w poprzednim numerze na samej wigilii. Na resztę nie starczyło miejsca, choć prawdę powiedziawszy, to i nie było o czym pisać, oba bowiem dni świąt nie różniły się niczem od zwykłych dni powszednich, chyba tam, że wyjątkowo mieliśmy wcale znośną pogodę.

Święta Barbara w tym roku dopisała. Jej imieniny były „po wodzie“, wobec czego należało być na to przygotowanym, że Boże Narodzenie będzie „po lodzie“. I tak też było. Lodu w ścisłym tego słowa znaczeniu nie było wprawdzie, ale było sucho i pogodnie. Jeśli wierzyć przysłowiom gospodarskim, w takim razie należy być na to przygotowanym, że Wielkanoc będziemy mieć „po wodzie“, zwłaszcza, że w tym roku obchodzimy ją równocześnie z dziesiątą Izraela.

To znów nie zgadza się z inną przepowiednią meteorologiczną na rok 1919. Ojcowie nasi notowali bardzo skrzętnie stan pogody od dnia świętej Łucji (13 grudnia) począwszy, a na dzień wigilijny skończywszy. Każdy dzień to prognoza na jeden miesiąc roku przyszłego. Według moich zapisków tegorocznych dzień 16 grudnia, odpowiadający mieszkańcom kwiatnolowi w roku następnym, był rano nieco mglisty, potem pogodny, więc też i kwiecień powinien mieć ładny. Ale to nie jest zupełnie pewnem, nie dziwiłbym się więc wcale, gdyby moje przepowiednie zawiodły. Wszak i słynnemu Falbowi niezawsze się to udawało. Ten sam los spotkał i prognozy pewnego tarnowskiego meteorologa na rok 1918, wydane na każdy dzień osobno na podstawie właśnie stanu pogody od dnia św. Łucji do dnia wigilijnego w roku 1917. Nie sprawdziły się w dziewięćdziesięciu procentach, ale to już zwykły los wszelkich przepowiedni!

Pogoda więc w same święta Bożego Narodzenia dopisała zupełnie, ale co innego nie dopisało. Z wieczoru wigilijnego zamiast lina z kapustą, który miał być w pierwsze święto odczerpany na drugie śniadanie, zostało tylko pragnienie i nic więcej. A tak ono dokuczało nie tylko kronikarzowi, ale widocznie i innym Krakowiakom, że z nadmiaru pracy pękła rura wodociągowa, nie mogąc nastarczyć zapotrzebowaniu wielako-cholerzyńskiej wilgoci. To zresztą zdarza się często. Pękają rury inne, pękać mogą temsamem i magistrackie, bo cóż one od tamtych gorszego?...

Po skromnym obiadku spacer, nie tylko ze względu na zdrowie, ile raczej aby się w ten sposób ochronić od niepotrzebnych odwiedzin tak zwanych przyjaciół, którzy cię nie tylko objędzą i opiją, ale potem jeszcze obgadają. Spacer zresztą podniósł apetyt, czego się dziś powinno unikać, choć aprowizacja, jak powiadają, z dnia na dzień się poprawia (ale może nie u nas?.. przyp. zecera).

Na plantacjach spotkanie ze znajomą rodziną, która oświadcza, że wybrała się do nas w odwiedziny (ośm i pół osoby, wliczając małe dziecko i niańkę...). Wyrzuciłam z tego powodu ogromne zmartwienie ze względu na ową staropolską cnotę gościnności, ale w duchu dziękuję Opatrzności za to, co się stało.

— A my — oświadczam znajomym — szliśmy właśnie do państwa kochanych, by w waszym miłym towarzystwie spędzić kilka chwil... Ale trudno!... Widocznie Opatrzność tak już zarządziła... Aby jednak nikomu nie była krzywda, mam doskonały projekt...

— No, jakiż?.. — zagadnięto mnie chórem.

— Pogoda dopisała, chodźmy wobec tego na Błonia na spacerke...

Weronika spojrziała na mnie z wyrzeczonym wdziękiem, członkowie zaprzyjaźnionej rodziny pospuszczali nosy na kwintę, ale nie wypadało oponować. Przez Wolską pociągnęliśmy razem na Błonia, stąd dość szybko nastąpił powrót do miasta, potem jeszcze mała przechadzka po plantacjach „by ludzi zobaczyć...“ i pożegnanie bardzo cznie z wyrażeniem obopólnego żalu, że się tak piękne zamiary jakoś dziwnie pokrzyżowały...

Drugi dzień świąt, czwartek, jota w jota podobny do swego poprzednika, zwłaszcza, że lokal śniadankowy, do którego kronikarz od czasu do czasu „wpada“, zamknięty. A iść gdzieś indziej, między obce towarzystwo, to się nie opłaca. Popołudniu odwiedziłam u znajomych, których na szczęście zastałam w domu. Zapasów świątecznych nie mieli jeszcze zjeść czasu, ani wypić, pomagamy im w tem chętnie i skutecznie.

Następuje pięć dni krytycznych pierwszego rzędu, bo staowiących koniec miesiąca. Choćby cześć nie chciała, musi prowadzić spokojny i przyzwyczajony żywot, jak przystało dla zrównoważonego obywatela, mającego zamiar postawić swą kandydaturę przy najbliż-

szych wyborach do konstytuancy i to na zasadach własnego, dopiero utworzyć się mającego stronnictwa.

Nastąpił więc Sylwestrowy, rajacy to do siebie. Iż najhuczniej obchodzą go ci, którzy rok swój kończą nie w grudniu, ale we wrześniu.

W roku 1918 na ogół w dniu tym bawiono się daleko skromniej niż po inne lata. Złożyły się na to różne okoliczności, głównie zaś smutne wiadomości, jakie nadeszły ze Lwowa. Tam hula hajdamaczyzna, więc nam bawić się nie tylko nie wypada, ale i nie wolno. Wolno to natomiast uczynić tym, którzy się do nas nie chcą zaliczać. Oni też bawili się, ale bez animuszu, gdyż znów popsuli im humor nowa serya wyroków za lichwą aprowizacyjną i zapowiedź dalszego ciągu.

Przy tej sposobności pokazało się, że większość naszych kupców to lichwiarze i paskarze, grożą bowiem, że w odpowiedzi na to „prześiadowanie“ zamkają swe sklepy. Ogół iakoś to zniesie, ale pod warunkiem, że taki pan, który teraz sklep zmnął na znak protestu, nigdy już karty przemysłowej na prowadzenie interesu nie otrzyma.

Że zaś darcie skóry odbywa się mimo to w dalszym ciągu i to jeszcze z pewnem nasileniem, zapewne dlatego, aby mieć fundusz na spodziewaną karę, najlepszy dowód, że w dzień wigilijny pewna firma (katolicka...) sprzedawała cukierniki, rzekomo „warszawskie“, po sześćdziesiąt korek za kilogram, a w Sylwestrowy wieczór pewien cukiernik żądał za paczkę, nie o wiele większą od dużej pigułki, tylko... koronę i pięćdziesiąt halerzy. Choć nie jestem artystą w edzeniu, podejmuję się takich paczków zjeść na jedno posiedzenie pół kopy i to bez zbytecznego wysiłku.

Do osłabienia „podniostego nastroju“ w Sylwestra przyczyniło się też poniedziałek i rozporządzenie polskiego rządu, polecające wojskowym, powołanym do służby na czas wojny, a mającym „w cywilu“ jakie urzędowe zajęcie, powrót do takowego, lub rezygnację. Wielu nie poszło to w smak, bo to bardzo było przyjemnie brać dwie pensyjki, a w gruncie rzeczy nie robić. Według ostatnich obliczeń, z końcem grudnia wypadało w Krakowie trzech oficerów na jednego szeregowca...

Pobrzękiwanie szabelką, to rzecz przyjemna, brać dwa pensyjki, lub choćby tylko jednej, ale z dodatkiem wojennym też nie jest do pogardzenia, jeśli jednak przyszedł do czego (dajmy na to, organizowanie wyprawy na odsiecz Lwowa...) każdy chętnie się cofa i oświadcza gotowość odstąpienia pierwszeństwa innym. Naczyli nas tego „sztafandowi“ oficerowie austriaccy w czasie wojny, przedkładający pobyt w *Hunterlandzie* lub etapach nad niepotrzebne narażanie się w rowach strzeleckich. Sposobność do odznaczenia się tamże zostawiali łaskawie kolegom z rezerwy tłumaczyć, że po wojnie będą potrzebni jako organizatorowie przyszłej armii. Że się ich nadzieje nie spełniły, to nie ich wina. Oni pragnęli tylko dobra swej c. k. ojczyzny i dla niej salwowali swe życie i zdrowie.

Sylwestrowy wieczór spędził kronikarz, jak zwykle, w domu, układając sobie mowę kandydacką, na wypadek, gdyby stronnictwo, które ma zamiar powołać w najbliższym czasie do życia, uznało go za godnego do piastowania mandatu. Nad jej ułożeniem pracował kilka godzin, a pomagała mu cała rodzina, okazująca już wybitne polityczne oświadczenie w duchu bardzo postępowym i co do równouprawnienia obu płci, ogromnie też zgorzchniona tem, że obecnie zaczyna służba męska wypierać powoli żeńską, na przykład w tramwaju i gdzieś indziej.

Dziś, w przededniu stanięcia przed urną wyborczą, każda niewiasta czuje w sobie siły na „żonę stanu“, skoro bowiem mężczyźni bywają „mężami stanu“ ergo kobietom należy się stanowczo tarten tytuł.

Nowy Rok 1919 powitaj kronikarz już w łóżku, należało bowiem iść wcześniej spać nie tyle z powodu braku materysłu oświetleniowego, ile ze względu na okoliczność, że nazajutrz ma się iść do czynienia z liczną rzeszą gratulantów noworocznych i samemu musi się być przygotowanym na wystąpienie w tej roli.

O życzeniach w gronie rodziny nie mówię... Rok rocznie powtarzają się one prawie dosłownie. Życzy się nawzajem, by rok następny był lepszy, niż poprzedni. Tymczasem potem okazuje się, że szelma był daleko gorszy...

To samo powiedzieć można i o innych życzeniach, choć w tym roku różniły się one nieco od dawniejszych. Przedewszystkiem gratulantów było mniej, a to dlatego, że ci, którzy dawniej żyli ze składania życzeń, dziś, derobliwszy się na wojnie, sami je przyjmują, ponadto przyczyniła się do osłabienia tego „ruchu“ niepogoda w pełnem tego słowa znaczeniu.

Zjawili się wprawdzie stróż i stróżka, kominiarz, listonosz i listonoszka i t. d., ale nie tak wcześniej, jak po inne lata, dopiero około dziesiątej. Gdy już byli w komplecie zebrani, wpadłem do kuchni i tam

wyłosiłem do nich mowę noworoczną, którą zakończyłem w ten sposób:

— Dziękuję zatem serdecznie za złożone mi życzenia, bo nie wątpię, że z serca pochodzą. Słyszałem je już zresztą tyle razy... Ze względu jednak, że, o ile wiem, dzienny dochód obywatela stróża z rozwożenia paczek i znoszenia węgli wynosi nawet i sto koron, a zarobek reszty szanownych obywateli i obywaterek zapewne mu dorównuje, jeśli go nie przewyższa, mój zaś, po tylu latach studyów ogranicza się coś zaledwie do dwudziestu, pozwolicie, że w tym roku ograniczę się jedynie na ustnem podziękowaniu!...

To im się widocznie nie podobalo, choć widziałem, że miny były poważne, wskazujące na wzruszenie. Stróżka obcierała nawet nos palcem, prawdopodobnie z rozczulenia...

Cóż jednak było robić, skoro widzieli, że do kieszeni nie sięgam... Powoli zaczynali związać front i opuszczać zajmowane dotąd pozycje.

Gdy już byli na schodach, doszły mnie stamtąd ich głosy:

— A to ci burżujowi przyszło na koniec!

— Tak!... Ale był i czas na to!... Bo też wydzwialiś nas do!... Dż!ś mu się jeszcze zachciewa czegoś... Raz brama zbyt wczesną zamknęła, to znowu zapóźno otwarta, na schodach się nie świeci, nie pozamiatane, śnieg nie zgarnięty... Tak, jak gdyby czło-wiek nie miał nic lepszego do roboty...

— Święte słowa pana Walentego... Ja tam w mem życiu już nie jeden komin wymłotem, to wiem, co to znaczy. Grymasili burżuje, ale raz im nareszcie przyszło na koniec... Teraz my im pokażemy, jak świat powinien być urządzony... A możebyśmy tak, panie Walenty, do Maurycego skoczyli na kubek?... Ale z dobrodzieńką, bo to teraz równouprawnienie!

— Myślę sobie, że nie bezemnie!... A możebyśmy tak zaprosili tego literata?... Niech sobie chudzi na to, by się musiał tłumaczyć, że go nie stać na to, by zapłacił kolejkę...

— Co to, to nie!... Ja tam wiem, że on tyknąłby z ochotą, ale nie powinno się ludzi uczyć żyć nad stan. Skomli, że nie ma hopów, niech pije wodę... A jak jesteśmy w swoim towarzystwie, to wiem przynajmniej, że, jak ja postawię, to potem pan krzyknie... Dobre twoje, dobre moje... Poco go narażać na to, by się musiał tłumaczyć, że go nie stać na to, by zapłacił kolejkę...

— Święte słowa pana Walentego!... Takie, co to, jak powiadają, węglem w kominie pisać!...

— Jak to zaraz poznać fachowego człowieka!... — dodała z uznaniem pani Walentowa...

Z kolei i ja poszedłem według zwyczaju do mojego gospodarza, by mu powinszować, zapłacić czynsz i dowiedzieć się, kiedy się można spodziewać... pod-wyżbi.

Zastałem go nie w sosie...

— A cóż to kochanemu radcy dolega? — zapytałem.

— Cóż gorzej, łaskawy panie — odpowiedział. — Ot, dopiero przed chwilą wypowiedział mi stróż!

— Tego nie powinno się znów zbuntować do serca. Poszedł jeden, znalazł się drugi!

— Ale pan mnie nie rozumie!... On mi inaczej wypowiedział!... Oświadczył mi, że teraz nastąpi podział własności między tych, którzy nie nie mają, a moja kamienica przypada akurat dla niego... Od kwartału zajmuje moje mieszkanie, a mnie łaskawie raczył oblać, że będę miał pierwszeństwo, jeśli się będę ubiegał o posadę stróża w jego rzeczywistości... Jak widzę trzeba będzie pomyśleć o założeniu „Ochrony kamieniczników“...

I tak był tem przejęty, że widocznie zapomniał o podwyższeniu czynszu, a ja mu też nie przypomniałem, bo go już znam na tyle, iż wiem, że sobie zawsze przypomni na czas i obejdzie się przy tem bez obcej pomocy.

W kawiarni, do której zwykle uczęszczam, kelner złożył mi też życzenia, a ja mu za nie również pięknie podziękowałem, zapewniając, że na inny dowód wdzięczności zdobyć się nie mogę, gdyż po siedemnastu latach studyów szkolnych i drugiej takiej seryi prywatnych, jestem w tem miłym położeniu, iż mam tyle, że mogę robić dług. by mógł żyć, ale nie potrafiłbym się zdobyć na to, by naprzytyk z zarobku wojernego kupić interes swego pryncypała, jak to czynili jego zawodowi koledzy.

Przyznał mi widocznie rację... Gdy odszedł, spostrzegłem obok mego nakrycia papierową dziesięć koronówkę. Skąd się tam wzięła, nie wiem, ale ja jej tam nie położyłem bynajmniej.

Czyżby kelner?... Nie mogłem go o to zapytać, gdyż przez cały wieczór widocznie mnie unikał, choć zauważyłem, jak kilka razy rzucił w mą stronę wzrokiem pełnym politowania, jak gdyby chciał powiedzieć:

— A widział!... I na cóż ci się przydadzą twe mądrości, skoro dziś pieniędz to grunt, a ten mądry, kto bogaty...

I pod taką wróżką rozpocząłem rok 1919.